

ROZDZIAŁ DRUGI

ISABEL

Odmierzałam czas, licząc wtorki.

Trzy wtorki do początku ferii wiosennych.

Siedem wtorków, od kiedy Grace zniknęła ze szpitala.

Pięćdziesiąt dziewięć wtorków do ukończenia liceum i opuszczenia tej dziury – Mercy Falls w Minnesocie.

Sześć wtorków, od kiedy po raz ostatni widziałam Cole'a St. Claira.

Wtorki od zawsze były najgorszym dniem tygodnia w domu Culpeperów. To był dzień kłótni. Wprawdzie u nas każdy dzień mógł pretendować do tego miana, ale we wtorki kłótnia była gwarantowana. Zbliżała się pierwsza rocznica śmierci mojego brata Jacka i po trwającym dwie godziny rodzinnym krzykatonie, który objął zasięgiem trzy piętra rezydencji i zakończył się groźbą rozwodu ze strony matki, ojciec znowu zaczął z nami chodzić na terapię grupową. A to oznaczało, że w każdą środę mama się perfumowała, tata na chwilę odkładał telefon, a ja wsadałam do gigantycznego niebieskiego SUV-a ojca, starając się udawać, że tył auta nie śmierdzi martwym wilkiem.

W środy wszyscy zachowywali się wzorowo. Kilka godzin po terapii upływało w spokoju i doskonałej harmonii: obiad w St. Paul, odmóżdżające zakupy lub wspólny seans w kinie. A potem, godzina po godzinie, zaczynaliśmy się oddalać od tego ideału – aż do następnego wtorku, kiedy to dochodziło do kolejnych eksplozji i walki na pięści.

We wtorki zazwyczaj starałam się wymykać z domu.

Tego konkretnego dnia stałam się jednak ofiarą własnego niezdecydowania. Po powrocie ze szkoły nie mogłam się zebrać, żeby zadzwonić do Taylor albo Madison i umówić się na wyjście. W zeszłym tygodniu pojechałam z nimi i z ich kolegami do Duluth. Wydałam dwieście dolców na buty dla mojej matki, sto na koszulkę dla siebie i pozwoliłam chłopakom wydać jedna trzecią tej samej kwoty na lody, których nawet nie zjedliśmy. Nie widziałam sensu w odtwarzaniu tego scenariusza, chyba żeby zależało mi na zaszokowaniu Madison szastaniem karta kredytową – buty pewnie poniewierały się gdzieś przy łóżku mamy, koszulka dziwnie na mnie leżała, a ja nie potrafiłam nawet przypomnieć sobie imion tamtych chłopaków. Jedno chyba zaczynało się na „j”.

Mogłam się też zadowolić moją drugą ulubioną rozrywką – wsiąść do SUV-a, pojechać dokądś, włączyć muzykę na cały regulator, odpuścić myślami i udawać, że jestem daleko. Zwykle potrafiłam zająć sobie w ten sposób tak dużo czasu, żeby wrócić do domu już po finale kłótni rodziców. Jak na ironię – gdy mieszkałam w Kalifornii, w ogóle tego nie potrzebowałam; miałam milion razy więcej możliwości na spędzenie dnia poza domem.

Tak naprawdę chciałam zadzwonić do Grace i powtórzyć się z nią po mieście albo poleżeć na jej łóżku, kiedy będzie odrabiała pracę domową. Nie wiedziałam, czy to jeszcze kiedykolwiek będzie możliwe.

Spędziłam tyle czasu na rozważaniu możliwych opcji, że przegapiłam szansę na ucieczkę. Stałam właśnie w holu z telefonem w dłoni, kiedy mój ojciec zbiegł hałaśliwie po schodach, a w drzwiach salonu na dole pojawiła się matka. Utknęłam pomiędzy dwoma frontami pogodowymi. Mogłam tylko przygotować się na najgorsze i mieć nadzieję, że wichura nie porwie krasnala ogrodowego.

Napięłam wszystkie mięśnie.

Mój ojciec poklepał mnie po głowie.

– Hej, ptysiu – rzucił.

Ptysiu?

Zamrugałam, gdy mnie mijał: efektywny i wpływowy, olbrzym na swoich włościach. Zupełnie jakbym cofnęła się w czasie o rok.

Gapiałam się jeszcze na niego, gdy stanął w drzwiach przy mojej matce. Czekałam, aż wymienią przytyki. Zamiast tego wymienili pocałunek.

- Co zrobiliście z moimi rodzicami? – zapytałam.
- Ha! – zawołał ojciec głosem, który można by opisać jako jowialny. – Byłbym wdzięczny, gdybyś włożyła coś zakrywającego brzuch, zanim Marshall tu dotrze. Chyba że będziesz siedzieć cały czas na górze.

Mama obdarzyła mnie spojrzeniem typu: „A nie mówiłam”, mimo że w żaden sposób nie skomentowała mojego stroju, gdy wróciłam ze szkoły.

- Kongresmen Marshall? – zapytałam zdziwiona. Wielu kumpli z college’u mojego ojca obejmowało teraz wysokie stanowiska. Ale od śmierci Jacka tata nie spędzał z nimi za dużo czasu. Co nie zmienia faktu, że słyszałam sporo pikantnych historii na ich temat, zwłaszcza kiedy dorośli powtarzali je przy zakrapianych alkoholem spotkaniach. – Grzybek Marshall? – upewniłam się. – Ten, który bzykał mamę, zanim zaczęliście być razem?
- Dla ciebie to „pan Landy” – upomniał mnie ojciec, ale nie wyglądał na zirytowanego. – Nie bądź niegrzeczna wobec matki – dodał, przechodząc do kuchni.

Matka podążyła za nim. Słyszałam, jak rozmawiają. W którymś momencie mama nawet się zaśmiała.

We wtorek...

Był wtorek, a ona się śmiała.

- Dlaczego on tu przychodzi? – zapytałam podejrzliwie, dołączając do nich.

Spojrzałam na kuchenny blat. Połowę jego powierzchni pokrywały torebki z chipsami i warzywa, a na drugiej leżały podkładki do pisania, teczki z dokumentami i zabazgrane notatniki.

- Jeszcze się nie przebrałaś – zauważyła mama.
- Wychodzę – wyjaśniłam, podejmując decyzje dokładnie w tym momencie. Wszyscy kumple taty uważali, że są wyjątkowo zabawni, a byli wyjątkowo nudni, więc nie miałam wyboru. – Po co przychodzi tu Marshall?
- Pan Landy – uparcie poprawił mnie ojciec. – Będziemy omawiać pewne istotne kwestie prawne, a potem nadrabiać zaległości.
- Jakiś proces sądowy? – Coś przykuło mój wzrok, więc powoli przesunęłam się w kierunku pokrytej papierami części blatu. Słowo „wilki” było wszędzie.

Na widok dokumentów zadrzałam. W zeszłym roku, zanim poznałam Grace, przeszyły mnie dreszcz ekscytacji na myśl o tym, że ktoś wreszcie zemści się na wilkach za śmierć Jacka. Teraz, o dziwo, czułam tylko strach.

- To przepisy dotyczące ochrony wilków w Minnesocie... - zaczęłam.
- Prawdopodobnie wkrótce się zmienią – oświadczył ojciec. – Landy ma kilka pomysłów. Może uda nam się pozbyć całej sfory.

To dla tego był taki szczęśliwy! On, Landy i mama spotykają się, żeby zaplanować eksterminację wilków! Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę uważa, iż to pomoże mu uporać się ze śmiercią Jacka.

Grace była w tych lasach. W tej chwili. On o tym nie wiedział, ale właśnie planował jej morderstwo.

- Fantastycznie – podsumowałam. – Zmywam się stąd.
- Dokąd idziesz? – zapytała mama.
- Do Madison.

Mama zamarła w połowie otwierania paczki chipsów. Miała wystarczająco dużo jedzenia, żeby wykarmić cały kongres Stanów Zjednoczonych.

- Naprawdę do niej idziesz, czy mówisz mi tak tylko dlatego, że wiesz, iż będę zbyt zajęta, żeby to sprawdzić?
- Okej – przyznałam. – Idę do Kenny's, ale nie wiem jeszcze z kim. Zadowolona?
- Wniebowzięta – rzuciła mama.

Nagle zauważyłam, że ma na sobie buty, które jej kupiłam. Poczułam się dziwnie. Mama założyła prezent ode mnie, rodzice się uśmiechali, a ja się zastanawiałam, czy uda im się zastrzelić moją przyjaciółkę.

Złapałam torebkę i wyszłam. Wsiadłam do swojego SUV-a i zamknęłam się w dusznym wnętrzu. Nie przekręcałam kluczyka w stacyjce, tylko siedziałam przez chwilę z telefonem w dłoniach i próbowałam wykombinować, co dalej. Wiedziałam, co powinnam zrobić, ale nie wiedziałam, czy tego chcę. Minęło sześć wtorków, od kiedy z nim rozmawiałam. Może to Sam odbierze telefon. Z Samem mogłabym pogadać.

Nie, ja wręcz *m u s i a ł a m* porozmawiać z Samem. Bo kongresmen Marshall Landy i mój ojciec naprawdę mogą coś uknuć podczas tej napędzanej chipsami narady wojennej. Nie miałam wyboru.

Zagryzłam wargę i wybrałam numer domu Becka.

- *Da?*

Głos w słuchawce był nieskończenie znajomy, a nerwowe szepty w moim żołądku zamieniły się w wycie.

To nie był Sam.

- Cole, to ja. – Mój głos bezwiednie zabrzmiał lodowato, choć tego nie chciałam.
- Och – odpowiedział chłopak i się rozłączył.